Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. No. 8. Leszno, dnia 22. Sierpnia 1840.



Widok zwalisk zamku czerskiego.

Zwaliska zamku czerskiego.

Po nieszczęsnym podziale Polski między synów Bolesława Krzywoustego, Mazowsze oderwane od monarchii, miało aż do 16go wieku udzielnych swoich książąt, którzy małą już z saméj siebie krainę tę dzielili znowu pomiędzy swoich potomków. Tym sposobem już w 13tym i 14tym wieku utworzyły się rozmaite dzielnice Piastów na Mazowszu, n. p. płocka, wiska, czerska i t. d. Ostatnia, począwszy od Ziemowita, który w wojnie przeciw Rusinom poległ (r. 1262.) założywszy w tém mieście stolicę swoję, wzniosła w niém wspaniały zamek, którego ruiny rycina niniejsza wystawia. Zamek ten o trzech wieżach stał na wysokim wzgórku, otwierającym najprzepyszniejszy widok na obszerne, piękne niebotyczne lasy, które dziś ręka ludzka już wytępiła. Królowa Bona, dostawszy w dożywociu, po wygaśnieniu Piastów mazowieckich, Mazowsze, przebywała chętnie i często w zamku czerskim i założyła obok niego obszerną winnicę, która jeszcze za Władysława IV. jagody winne wydawała. Wojna szwedzka za Jana Kazimierza, a bardziéj jeszcze nierząd i niedbalstwo nasze, zagrzebały zamek czerski w gruzach, jak tyle innych pomników sławy i potęgi przodków.

O samém mieście Czersku nie wiele jest do powiedzenia. Leży na lewym brzegu rzeczki Czarny, blisko Wisły. Niegdyś zamożne i ludne (albowiem, podług lustracyi 1564. roku, mieściło w sobie 153 samych rzemieślników, a między tymi 24 piwowarów, 13 sukienników, 2. miecznikow i t. d.); dziś jest nędzną mieściną o 50 chatach, których mieszkańce oddani zatrudnieniom rólniczym, bez najmniejszego przemysłu, życie w ubóstwie pędzą.

Opis bitwy pod Grunwaldem roku 1410. dnia 15. Lipca. (*)

Nie będziemy szczegółów technicznych opisywali: czytelnik znajdzie rozłożenie wojsk i cały rys akcyi na przytoczonym na str. 61. planie; opiszemy tylko co do przedmiotu opisowego należy. Już słońce było w południu, gdy trąby polskie znak dały do bitwy, pieśń: *Boga Rodzica,* odezwała się po wszystkich szeregach polskich. Dziwném zdarzeniem, postrzeżono na wzgórzu, między obiema wojskami leżacém, sześć wyniosłych dębów, na których byli ludzie, przypatrujący się wojskom zbliska; nie można jednak wiedzieć, kto byli oni i na jaki cel tam wysłani. Krzyżacy, przeciw postępującym ku sobie szykom, zatoczyli działa i strzelać poczęli; lecz stojąc na miejscu wzniosłém, nie wiele szkodzić mogli, podług tamtoczasowéj umiejętności sztuki artylleryjskiéj (1). To postrzegłszy wielki mistrz,

(*) T. Narbutta: Dzieje narodu litewskiego. T. VI.

(1) Bielski i Kotzebue powiadają, że Krzyżacy tylko dwa działa mieli. Pauli każe wszystkie z Mal-

kazał działom umilknąć i ruszyć do wzajemnego natarcia. Starły się oba wojska, okropność téj chwili wyrównywała odwadze i zawziętości. Łamały się hartowne żelaza, mąż na męża wręcz uderzał, śmierć tylko przeciwnika, uprzątała krok dalszy każdemu; krzyk i brzęk oręża daleko słyszeć się dawał, stękała ziemia pod stopami walczących. Ruszały się tu lub ówdzie wprzód i na tył o nie wiele zastępy, lecz wszędzie równoważyła się ta sama waleczność i to samo szczęście. Jednak Krzyżacy, całą usilność obrócili przeciw litewskiemu wojsku, i przemagającą siłą dobrze dowodzonego ludu, powtórzywszy kilka uderzeń ścieśnioną linią swoją, pierwszą linię litewską znacznie w tył pocisnęli i zrzucili na drugą. To widząc wielki mistrz, wzmacnia swoich i każe z usilnością łamać się na tém stanowisku. Niebawnie więc druga i trzecia linia litewska złamane zostały. Nastał popłoch: naprzód Tatarzy litewscy, po nich wileńskie, trockie, żmudzkie, nowogrodzkie i wołyńskie półki poszły w rozsypkę (2). To wojsko, nie tak porażone, jako raczéj wyparte z szyku, nie mogło boju wznowić; gdy zaś chorągiew Ś. Jerzego znikła z przed oczu, którą otaczały Morawców i Czechów zastępy (3), stracono nadzieję, aby i Polacy kroku dostali, zdało się, że wszyscy się cofają. Nawet znaczny oddział Polaków, przytykający do litewskiego lewego skrzydła, uwleczony został na tył. Wielki książę, używa wszelkich środków do wstrzymania popłochu, chce szyk na nowo ustawić; lecz nadaremnie. Część uciekających odcięta, zwrócona ku bagnom rzeki Marenzee, tam ginie prawie całkowicie; druga spędzona ku jezioru Lauben, wyciętą zostaje, lub idzie w niewolę. Dwa tylko oddziały potrafiły się uratować: jeden dopadłszy mostu pod wśią Seewalde, drugi przez Faulen dostał się do Neidenburga; ten ani się zatrzymując, poszedł aż do Litwy, wszędzie roznosząc wieść o całkowitém swoich porażeniu. Jednakże położenie miejsca tak było szczęśliwe, że droga z Logdan do Tannenberga idąca, wklęsłém zagłębieniem dawała prawemu skrzydłu Polaków mocne oparcie się. Tam właśnie, z prawéj strony drogi, stały półki smoleńskie, lewe skrzydło litewskie tworzące, pod mężnym i walecznym dowódzcą, książęciem Jerzym Langweniewiczem: on, korzystając z położenia wygodnego, przez samę wklęsłą drogę nastręczonego, utrzymał się przeważnie przy prawém skrzydle Polaków, przymknąwszy nieco w lewo. Wielki książe to postrzegłszy, kazał rezerwie litewskiéj pójśdź naprzód, która stała między drogami z Faulen i Logdan do Tannenberga idącemi. Ten krok całą postać bitwy odmienił: albowiem krzyżackie zastępy, cisnące się w kierunku drogi z Tannenberga do Logdan, zgęszczone coraz nowo podsyłanemi, dla przedarcia się miejscem otworzoném, mogłyby zawładać wzmienionym wąwozem, oskrzydlić na prawo Polaków i rozwiązać rzecz całą na swoję korzyść. Smoleńszczanie przeto, nim rezerwa nadeszła, ogromne siły utrzymali na sobie, i cudem waleczności dostali do chwili, aż wsparcie nadeszło. Tymczasem i na lewém skrzydle, szczęście zdawało się uśmiechać do Krzyżaków: ich nieustraszone ściany rycerzy, uderzały na najmocniejsze stanowisko, i lubo opór odpowiadał mocy natarcia, jednakże wielka chorągiew państwa z białym orłem, dostała się w ręce nieprzyjaciela. Po tym wypadku, Polacy krok za krokiem odstępować poczynają. Niemcy tém silniéj następują i pełni nadziei wygranéj, podnoszą po całém wojsku swojém pienia zwycięztwa: *Chrystus zmartwychwstał!* Nie wiele w istocie brakło do tego: gdyby dowódzca Smoleńszczanów, nie miał tyle rozumu i odwagi, gdyby kozactwo litewskie pierzchając, nie uwlekło na sobie mnóstwa jazdy nieprzyjacielskiéj, gdyby jego piechota, zamiast rabowania zasobów pod Faulen, wróciła się na pozycyą, byliby Krzyżacy panami dnia tego. Gdy oni tak już myślą o tryumfie, Zyndram, zostawszy zapewniony, że na prawo go nieprzyjaciel nie oskrzydli, kazał rezerwie, stojącéj na prawéj stronie drogi z Hezelicht prowadzącéj, przejśdź strumień na lewo, podzielić się na dwa oddziały: jednemu zająć pozycyą pod Schönwäldchen, drugiemu wyciągnąć linią, między tamtym oddziałem a lewém skrzydłem głównego wojska. W téj chwili, spadł krótko-trwający deszcz i kurzawę osadził. To gdy się dzieje, wielki książę pospieszył do króla, zapraszając go do wystąpienia ku wojsku, aby obecnością swoją pokrzepił upadającą nadzieję. Król pojechał. Wtém oddziały odwodowe zajęły lasek pod Schönwäldchen, przeszły go i uderzyły z końca na prawe skrzydło nieprzyjaciela z żywością błyskawicy; Tatarzy Kipczaku, grad strzał w pędzie koni swoich wypuścili, przez co cała linia zachwiała się i chorągiew państwa odebraną została. Król, przybywszy do trzeciéj linii, dotąd nieczynnie stojącéj, wyséła część jéj na wsparcie dwóch przodowych, postępujących na przód i cisnących prawe skrzydło nieprzyjaciela, w mocném zachwianiu przez poprzedni attak będące. Z drugą częścią téjże linii, wielki książę spieszy na prawe polskie skrzydło, dla wsparcia Smoleńszczan, wytrzymujących na miejscu ciągle powtarzane attaki na siebie. Zaledwie te poruszenia wykonanemi zostały, gdy ryk dział i odgłos trąb polskich, nowe hasło do rzezi wydały. Zyndram wznowił natarcie i bitwa z niesłychaną zacięto-

---

borga pod Grunwald prowadzić; trzebaby środek obrać i kilkadziesiąt przypuścić. Polacy mieć mogli 60: bo szli do szturmowania zamków, do czego szczególnie wtedy dział używano, w polu zaś nie wielkie być mogło użycie.

(2) Kojałowicz: p. 87.

(3) Jan Sarnowski Czech, uronił przez tchórzowstwo chorągiew Ś. Jerzego i skrył się w lesie. On późniéj, nie mogąc przenieść tego wstydu na sobie, umarł z rozpaczy. Długosz: Lib. XI. p. 255—256.

ścią się odnowiła. Ta chwila, los jéj rozwiązała. Już środek i oba skrzydła polskie szybko się posuwały po trupach nieprzyjaciół. Niemcy inaczéj nie dawali się z drogi usunąć. Wielki mistrz, postrzegłszy zachwianie swego prawego skrzydła, posłał wcześnie po oddziały, które ściganiem Litwinów zajęte były w stronie Seewalde. One porzuciły zdobycze, przyszły na plac walki, ustanowiły się w środkowym punkcie i dały zręczność dowódzcom sformować silną kolumnę, która w środek postępujących naprzód Polaków, z impetem uderzyła. To widząc król, posłał Oleśnickiego, aby mu przyprowadził oddział z linii przodowéj, dla pokrzepienia straży przybocznéj. Lecz tam dowodzący Mikołaj Kiełbasa, herbu Nałęcz, odpowiedział: „To być nie może, gdyż Krzyżacy, widząc naszych w tył odchodzących, dodaliby swoim odwagi, ukazaniem ludowi, że uchodzimy z placu.“ Wówczas król sam się chciał rzucić naprzód, lecz prawie gwałtem był wstrzymany, chorągiew jego spuszczono. Trwała długo walka na środku szyku nieprzyjacielskiego; lecz żadne męztwo nie zdołało Polaków zapędu wstrzymać. W téj chwili z pomiędzy kurzawy bojowéj, wysunął się rycerz niemiecki na koniu, od głowy do nóg żelazną zbroją odziany i konia takimże sposobem przybranego pod sobą mający, zowiący się Dypolt Kökeritz, szlachcic z Misnii; ten, poznawszy króla po świetnéj zbroi, prosto się rzucił na niego z przyłożoném do wytoku drzewcem; lecz Zbigniew Oleśnicki, trzymając w ręku złamaną włócznię, cisnął nań tym odłamkiem, trafił w skroń tak silnie, że go z konia zwalił prawie u nóg królewskich; straż rzuciła się na rozsiekanie i sam król włócznią w czoło mu ugodził. Zatém nastąpiło odparcie środka Krzyżaków, ich oba skrzydła zwinęły się ku Grunwaldowi, cofając się wśród rzeźi okropnéj. W takiém położeniu pod samą tą wśią, rozwiązanie bitwy nastąpiło. Tém bardziéj, że waleczność Smoleńszczan, rezerwy litewskiéj i zebranego ludu z rozproszenia, wytrzymawszy wszystkie natarcia, pozwoliła wielkiemu książęciu zgromadzić śilny zastęp i wyprowadzić ku Grunwaldowi, pod zasłoną którego, tłumy Kozaków i Tatarów, posunęły się ku Tannenbergowi, zniosły rezerwę tam stojącą i zawładały tém miejscem, oraz ukazały się pod samym Grunwaldem w tyle nieprzyjaciela. Skrzydło jego lewe, między Tannenbergiem i Grunwaldem, zniesione zostało; prawe tenże los spotkał; sam środek, mimo zagrożenia ze wszech stron, jeszcze się opierał. Lecz dowódzcy już wybici, najdzielniejsze rycerstwo poległo. Wielki mistrz kazał zgromadzać zewsząd odwodowe zastępy, albo raczéj one spędzone będąc ze swych stanowisk, same się kupiły do niego. Powiadają dzieje: że w téj potrzebie znajdował się szlachcic czeski, Metodyusz Trutniow, który z oddziałem ośmiuset konnego ludu, zwerbowanego przez siebie, przybył do Prus i targując się drogo, nie mógł znaleść służby u żadnéj strony. W całym ciągu bitwy, był on obojętnym widzem, stojąc pod wśią Seewalde, na drodze do niéj z Lauben prowadzącéj. W tym ostatecznym razie, przyszedł, chcąc pomagać Krzyżakom, lecz kiedy się meldował, wielki mistrz miał mu odpowiedzieć: „Ja z łaski Boskiéj jestem tylko Ulrych Jungingen, nie Chrystus; na co mi Judasz?“ Zagniewany Czech, poszedł do Polaków, lecz i tu nie znalazł zaufania; ukazano mu stanowisko na stronie, nim wezwanym nie będzie. Inni mówią, że wiele dopomógł do ostatecznego Krzyżaków pokonania. Cokolwiekbądź, położenie ich było krytyczne; przełożeni i wodzowie zagraniczni, radzili wielkiemu mistrzowi, przedsięwzięcie śpiesznego odwrotu, z ludem jeszcze pod bronią będącym, aby zamki osadzić i w nich bronić się. „Nie będzie tak, przez Boga żywego, odpowiedział Ulrych, abym ja ustępował z pola, kiedy nie jeden waleczny rycerz śmierć przy boku moim znalazł.“ To powiedziawszy, stanął na czele szesnastu małych chorągwi ludu, z rezerwy ściągnionego, który dotąd jeszcze do walki nie należał, ostatnie wojsko pozostałe; z tém uderzył na Polaków; lecz niespodzianie część większa ludzi jego pierzchnęła w stronę. Chorąży Chełmiński, Mikołaj Renys, naczelnik związku obywatelskiego Eidechsen-Bund zwanego i wielu innych z téjże ziemi rycerzy, zniżywszy chorągwie, uciekli haniebnie. Jednakże Ulrych, na dzielnym koniu białym, trzymając włócznię spuszczoną, do attaku prowadził garstkę swoich, wołając: „Za mną! za mną!“ I prosto na chorągiew królewską uderzyć zamierzał. Czy mu się zdawało, że tém uderzeniem przepłoszy Polaków; czy chciał tylko śmierci chwalebnéj; niewiadomo. Jednakże wodzowie polscy, zdziwili się, ujrzawszy zastęp jazdy w galopie do siebie zbliżający się; rozumieli z razu, że to Litwini z Grunwaldu wybiegli, gdyż kształt proporców był nieco podobny. Dla bliższego rozpoznania wyskoczył Dobiesław Oleśnicki i w zbliżeniu się do samego Ulrycha, cisnął nań pocisk, który za zręczném pochyleniem głowy ponad nią przeleciał: pocisk wielkiego mistrza nawzajem puszczony, konia pod Oleśnickim w nogę ranił. W téj chwili, rycerze polscy oskoczyli oddział krzyżacki do koła; ostatnia ta rozprawa, jedną z najkrwawszych była. Wielki mistrz, z walecznością i zręcznością niewymowną, odpiera natarcie i niepodobieństwu przemagającéj sile dotrzymania ulegając, śmiercią bohatérską uwieńcza zwycięztwo Polaków, trafiony w pierśi i czoło dwoma razami śmiertelnemi.

Po tym ostatnim attaku, już nie walka, lecz rzeź nastąpiła; wszędzie doścignione kupy, w nieporządku cisnące się ku obozowi, jedną drogą wolną jeszcze, albo padały pod mieczem,

8

albo szły w niewolę. Wieczór już nastał, słońce krwawém okiem raz ostatni spojrzało na ten padół zniszczenia i zaszło za czarne chmury: gdy Polacy wpadli do obozu, pod Frögenau rozłożonego. Tam jeszcze kommandorowie Gdańska i Balgi stawili w szykach czoło zwycięzcom; lecz napad ze wszech stron, w jednéj chwili uczyniony, przymusił do spiesznego cofania się; hufce ich zupełnie się rozwiązały. Zdobyty obóz ogromny, zasoby niepoliczone, przygotowanie do wielkich zamachów na zawojowanie całéj Polski przedsięwziętych: przepych, zbytek we wszystkiém. Mnóstwo dział burzących, zbroi, broni, łańcuchy na więźniów, łańcuchy na baryery, wozy, pociągi, konie podwodowe, paki, skrzynie z pieniędzmi, kufy z winem, wszystko w liczbie trudnéj do uwierzenia. Rabunek téż był niezmierny, zbytki niewypowiedziane. Król kazał rozsiekać kufy pełne win różnych: płynęły więc potoki wina i mięszały się z krwi potokami, napawając martwych ciał zwaliska. Uchodzących goniono jeszcze na kilku milach. Jeden z dziejopisów pruskich, w zawziętéj swéj nienawiści ku Polakom i w zawziętszym jeszcze stronnictwa duchu, wybesztawszy, mówię bez przesady, króla Władysława ostatniemi słowy, kończy opis bitwy niniejszéj tymi wyrazami: „Zakończył się dzień wielki dla zakonu: dzień największéj sławy jego, waleczności rycerskiéj i bohatérskiego ducha rycerstwa; lecz razem ostatni dzień jego kwitnienia, jego potęgi, szczęścia kraju, błogiego bytu jego poddanych. Od jutra już się liczyć poczynają dni jego nędzy, zguby i upadku na wszystkie czasy.“ Drugi dziejopis, sprawiedliwości więcéj oddany i wystawiający rzeczy bez uprzedzeń w ich świetle właściwém, przy téjże okazyi powiedział: „Ten świetny kolos, przez męztwo zbójeckie, na ruinach ludzkości podeptanéj, bez wiary, bez wstydu urosły, wydartém ludom złotem przepełniony, książęcemi herbami ozdobny, został mocą piorunu, ze szpon orła polskiego wypuszczonego, wywrócony i już od téj chwili z ruin swych nie powstał.“

Objaśnienie znaków na planie bitwy: ABCDEF, obóz Krzyżaków. — GHIKLM, ich szyk bojowy. — NO, dwie kolumny w odwodzie. — P, oddział zasłaniający lewe skrzydło. — Q, takiż drugi. — R, takiż dla zasłony prawego skrzydła. — T, 6 dębów na wzgórzu, zkąd przypatrywano się szykom. — S, miejsce, gdzie poległ w. mistrz. — U, ostatnia rezerwa krzyżacka.

1, 2, obóz armii litewskiéj. — 3, kaplica królewska pod namiotem. — 4, 5, szyk bojowy armii litewskiéj.— 6, 7, szyk armii polskiéj.— 8, 9, odwodowe kolumny.— 10, 11, późniejsze stanowisko odwod.

1, 2, oddział rycerza Trautenau.

Ostatnia wojna szwedzka.

Powieść z krajowych dziejów 18go wieku.
(Napisał Nowowiejski Franciszek.)

(Dokończenie.)

Rozdział IV.

Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wężów jedzona,
wzór najsroższych męczarni, postać Laokona.
Malczewski, w Maryi.

Drogą z Kalisza do Kazimierzowa, 30. Września 1707. roku, zmierzało dwóch starszych rajtaryi, a gdy już dojeżdżali do ostatniego miasteczka, folgę dali koniom spienionym, i jeden mówił drugiemu: „Cieszę się mocno, iż mnie dał Stanisław to poselstwo do Karola, bo trzeba ci wiedzieć, że ja mam więcéj niż kto bądź w Polsce powodów, zajmowania się losem naszego nieszczęśliwego. Dzierżawy jego oddzielała od moich tylko granica rzeczypospolitéj: kiedy on się schronił w naszę okolicę przed ścigającym go wyrokiem, wtedy pełne były nas dwory; gdzie tylko były na wydaniu dziewki urodne, wtedy często bywaliśmy sobie przeciwni, ale najgorsze były rozprawy o rękę mojéj żony. Lecz nie tylko na drodze miłości, ale i na polu walki z nim się wręcz ścinałem. Jako stały stronnik Sapiehów, byłem przy królu szwedzkim w bitwie pod Klissowem; wieczór po zwycięztwie, ciekawością zwiedzenia pobojowiska, a nie wojennym zapałem niesiony, za daleko odbieżałem głównego wojska, a nawet jego przednich straży. Wtém napada mnie starszy jakiś wojsk Augusta, którego z razu wziąłem za zbiega saskiego. Ale ten zbieg mniemany, tylko walkę, lub niewolę, dał mi do wyboru. Darmo jemu przekładałem niepotrzebę tego pojedynku, bić się musiałem. Przeciwnik mój zdradzał się porywczością swoją, umysłem żywym i wyniosłym; śmierci raczéj a nie zemsty szukał, a ja ranny silnie upadając, poznałem go przy świetle błyskawic, abym go stracił z oczu na zawsze; poznałem, z kim walczyłem, nie wiem, czy od niego poznany. Z téj rany, jak ci wiadomo, pół roku chorowałem obłożnie, śmiertelnie; z niéj mi wynikło niebezpieczeństwo utraty życia w pożarze krakowskiego zamku, ona ścisnęła ślubne węzły moje z Katarzyną, a tem samem jemu w niéj odjęła dawną kochankę. Chciał los, aby mnie się dostało w podziele posłannictwo tak ważne dla człowieka, z którym dwakroć stawaliśmy naprzeciw sobie, i który tak stanowczo wpłynął na koleje żywota mojego. Poszczęść mi Boże, tak drogie sercu mojemu staranie!“ To rzekłszy, spiął konia ostrogami; ruszyły cwałem rumaki, wzmocnione nieco chwilowym truchtem, ale kolega jego nagle zawołał: „Czy widzisz pułkowniku, na błoniu, pod miastem, to wojsko ustawione, ten tłum ludu z dala się przypatrujący?“ „Widzę, i cóż w tém dziwnego?“ „Bog-


PLAN
BITWY POD GRUNWALDEM
R. 1410 Lipca 15.
Oznaczenie pozycyi zastosowane
jest do tamtowiecznego jej stanu
z Lobau.
Tannenberg
Grunwald
(Grünfeld)
Schönwaldchen
Logdan
R. Seemnith
Jezioro Damerau
Seemen
Frögenau
500 1000 1500 2000 2500 kroków.

dajbym złym był wieszczem, ale te szeregi żołdactwa, to zbiegowisko gminu, wraża mi okropne przeczucia.'' „Ej prawisz namiestniku; cóż dziwnego, że Karól przegląd swoich Szwedów odbywa: młody ten monarcha, wyszły zaledwo z dziecinnego wieku, lubi się bawić w swoich żołnierzy.“ „Obym skłamał, panie dowódzco, ale dzisiejsza zabawka niczyjego serca nie rozśmieszy! Czy widzisz, co nam zwiastują te narzędzia, te katowskie rynsztunki!'' Po téj uwadze oba w milczeniu konie zwrócili na środek łąki, jak wiatr przelecieli mimo szwedzkich szeregów, szeregi pojrzały za nimi, pojrzały za barwą polskiego rycerstwa, bo nikogo dziś nie było z krajowców na kazimirzowskiéj łące, i tylko Szwedzi sami po służbie straż trzymali, a w dali motłoch miejski, z żydowstwa złożony, trwożnie i nie czule, z kary godną ciekawością, przypatrywał się zdarzeniu miejscowemu. Pułkownik polski po łacinie zapytał oficera szwedzkiego, który dziś tu był mistrzem obrzędowym, o króla Karola. „Jest w mieście,“ odparł oficer; „co pan masz do niego? może list króla Stanisława? może za Patkulem? już za późno mój panie; widzisz ćwiartki jego na palach; ale przyznać mu trzeba, był to mąż dzielnéj przyrody, za szesnastym dopiero uderzeniem koła, przestał dawać znaki życia, a poćwiertowane cząstki jego ciała, długo jeszcze drgały; tak więc po śmierci nawet miała jeszcze ta gadzina wszystkie własności padalca.“ „Pokój umarłemu, chwała męczennikowi!'' odparł uroczystym głosem dowódzca polskiéj chorągwi. „Dość wam hańby panowie, żeście byli wykonawcami tak nieludzkiego wyroku....'' „Zapominasz się pułkowniku, wszak znasz prawa służby.“ „Znam je, lecz obok praw honoru, i was tylko o tę radość nie rycerską winuję, a cały srom tego zdarzenia na pana waszego składam.'' „Co nasz pan winien, że Elektor saski wydał mu zażądanego Patkula?“ „Podły, kto tego żądał; podlejszy, kto wydał; najpodlejszy, kto się na ciele przeciwników swoich tak haniebnie pastwi! Biada, biada królowi mojemu, że koronę swoję zawdzięcza podobnym bohatérom, bo ich laury z dniem dzisiejszym, z tą godziną już więdnąć zaczęły!'' Ile te wyrazy prawdy mieściły, dowiodło głuche milczenie obecnych, i żadna szwedzka prawica nie spoczęła na rękojeści, a dzieje późniejsze stwierdziły, że od Kazimierza zaczęło odstępować Karola to szczęście, które pod Pułtawą na zawsze odbiedz go miało. W Patkula krwi męczeńskiej, zagasła fortunna gwiazda Karola, jednego z tych ludzi, których ziemia nasza, ledwo raz na stólecie, w bólach wydaje.

Rozdział V.

Uchodźmy ztąd: łzy nasze jeszcze nie dojrzały.
Mackbet,
Akt II., scena III.

Biegą lata niewstrzymane, niepowrotne; już nas i 1714. rok zaskoczył: szumi wiatr listopadowy, i deszczem przerywanym czasami zacina; miota okiennice ustronnego domu: smutno, pusto na dworze, ale jeszcze smutniéj we wdowim, sierocym domu. W głuchéj rozległéj bawialni siedzi za krosnami, urodziwa niewiasta w żałobie, i kończy właśnie wyszycie na czapraku, rodowego herbu ślepowrona; przypatruje się rada, jak ten kruk czarny, ze złotym pierścieniem w dziobie, odbija pięknie na błękitném polu; jak ta krajowéj szlachty korona o pięciu ramionach, jaśnieje na stalowéj przyłbicy zagranicznéj cechy, a im więcéj patrzy, tém się w posępniejsze myśli zatapia; nakoniec łzy jéj stoją w oczach, i czekają otarcia w ponawianych uściskach pięcioletniego chłopczyny. „O dziecię moje, ty nie znasz ojca twojego, a ja biedna, łudzę się sama, wmawiam w siebie jego życie, wyszywam tryumfalne rzędy, niepewna, czy je nawet na grobie jego zawieszę. O biedna ja matka, ale tyś biedniejsze moje dziecie!“ To mówiąc, zalała się łzami, i głos jéj we łzach utonął, zamilkła, i znów przykra cisza osiadła w bawialni, któréj ściany przeznaczone ku wesołym obrzędom, zdawały się urągać nieszczęśliwéj. W tak smutnych myślach topiła się mieszkanka tego pustkowia, kiedy nagle ujrzała przed sobą zbrojnego męża. Ujrzeć go i być w objęciach jego, było dziełem jednéj chwili. Wyrazy dwa, konwulsyjnie wykrzyknione: „Michale! Katarzyno!“ odbrzmiała komnata rozległa, a w tym uścisku tkliwym, rozczuleni małżonkowie opowiedzieli sobie doszczętnie wszystkie myśli i uczucia, czuwania i tęsknice tak długiego rozdziału. Po téj niebiańskiéj chwili, zapłakany małżonek unosząc w górę dziecię swoje, zawołał: „A syn mój?“ „Jak przykazałeś, Rejnoldem się zowie!'' „Biedny Patkul, nie taki skon sobie u ludzi zarobił, lecz niebo w sprawiedliwości, już mu pomściło koronę męczeńską. Więcéj dusza Karola wycierpiała od bitwy pod Pułtawą, niż ciało Patkula kołem łamane. Chciał los, abym ja świadek jego męczeństwa, przybył właśnie z królem Stanisławem ze Stralzundu, z Pomeranii, do Jass do Turcyi, i patrzał na ostatnie upokorzenie Karola w Benderze. „Michale mój,“ przerwała mu Katarzyna, „niewiem, gdzie się daléj obrócimy, lecz uchodźmy ztąd jak najrychléj, bo ty nie wiesz może, iż cię król August wywołał z kraju.“ „Mów raczéj, Elektor saski; ja znam tylko jednego króla, mojego Stanisława; a co do tych postanowień konfederacyi sędomierskiéj, znam je dobrze, i dla tego dziś jeszcze, i to zaraz, uježdżamy. Włości nasze posiadł August,

niech je trzyma, byle nas w pokoju zostawił. Nie masz tu ludzi ani sprzętów do zabrania, nie długie będą przybory, konie czekają; dla ciebie ze siodłem niewieściem, dla mnie drugi, a Stacho na trzecim uwiezie Rejnolda.“ „A dokąd jedziemy?“ wdzięcznie przerwała Katarzyna. ‚Dowiesz się w drodze,“ odparł Michał. I nie za długo z wieżyczkowego domku, śród ogrodu, na Piasku w Krakowie, pod Kapucynami, trzy rumaki ruszyły kłusem, na Zwierzyniec, przez Bielany, ku szlązkiéj granicy. Noc księżycowa sprzyjała ich jeździe, i właśnie gwiazdy blednąć zaczynały, kiedy podróżni naśi Przemszę Czarną pod Bobrkiem przebyli, i odtąd koniom sfolgowawszy, pomału w Pszczynie stanęli. Tu ich czekała poczwórna kolébka wiedeńska, i otwarty rozkaz cesarski swobodnego przez państwa przejazdu, do księztwa Dwóch Mostów, danego właśnie przez Karola Stanisławowi na przytułek; a Katarzyna tymczasem, na coraz częstszy dźwięk niemieckiéj mowy, zalała się łzami, i płacząc mówiła: „Odjeżdżamy grobu matki, niepewni, gdzie los kości nasze po obcéj ziemi rozmiecie; rzucamy kraj miły, rodzony, bez nadziei ujrzenia go więcéj.“ „Katarzyno,“ odparł Michał, „Bóg tylko zbrodniarzom odjął nadzieję, a nie tobie,“ dodał tuląc ją do łona, „mój ty ziemski aniele!“

F. N.

Życie Jędrzeja Sniadeckiego

przez

Michała Balińskiego.

(Dalszy ciąg.)

W roku 1830. wskrzeszony pamiętnik towarzystwa lekarskiego wileńskiego, ukazał się w nowéj postaci pod nazwą: *Dziennika medycyny, chirurgii i farmacyi*, który od Sniadeckiego czynnie zaczął być wspieranym. W nim to udzielił publiczności ów wielki lekarz, ważnych kilku postrzeżeń, w sposobie leczenia szczególnych przypadków, których mu długoletnie doświadczenie nastręczyło. Najwalniejszą jednak ze wszystkich innych prac Sniadeckiego, w tym dzienniku umieszczonych, jest bez wątpienia pismo o gorączce, traktat prawie formalny, zdaniem samychże medyków napełniony niezmiernie ważnemi uwagami i radą, a razem okazujący w całém znaczeniu, jak wielkim praktykiem był Jędrzéj Sniadecki (1). Zresztą samo zaczęcie owego dziennika, to jest przemowa, należy do niego, i jest dokładnym obrazem całego urządzenia i postępowania w klinice wileńskiéj, a razem życzeń i rad zbawiennych doświadczonego męża w zawodzie swoim (2). Po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego, i utworzeniu natomiast medyko-chirurgicznéj akademii w Wilnie, Jędrzéj Sniadecki objął w niéj (1832., Września 1.) też samę katedrę kliniki, a w rok późniéj mianowany został za 32letnie poświęcenie się z tak wielkim pożytkiem dla kraju urzędowaniu publicznemu, akademikiem. Stopień, okazujący najwyższy po prezesie szczebel hierarchii uczonéj w tém zgromadzeniu. Lekcye jego kliniczne tak świetne wydawały owoce w młodzieży corok licznie wychodzącéj z Akademii, która nauką, zdrową radą i wcześnie nabytém doświadczeniem pod stérem takiego nauczyciela, skuteczną przynosiła pomoc cierpiącéj ludzkości: że wkrótce znowu Rząd wynagradzając niezmordowane trudy zacnego męża, ozdobił go orderem Śgo. Włodzimierza, a wprzód jeszcze przyznał mu znak XXX. lat nieskazitelnéj służby. Mógłże komukolwiek zewnętrzny dowód nieskażitelności, właściwiéj być dany, jak temu czcigodnemu weteranowi uczonych w dawnéj stolicy litewskiéj?

Pomimo tylu zatrudnień przywiązanych do obowiązku publicznego i do charakteru na znamienitego lekarza, do którego wszyscy uciekali się o radę, błagali o ratunek w cierpieniach ciała: pomimo podeszłego wieku i dolegliwości doń przywiązanych, Jędrzéj Sniadecki prawie do samego końca dni swoich, nie przestał poświęcać się pracom naukowym. Jeszcze niektóre jego ważne postrzeżenia lekarskie i uderzające pomysły fizyologiczne, kreślone w roku 1837. piórem, młodość jego przypominającém, powierzone zostały nowo zjawionemu pamiętnikowi lekarskiemu warszawskiemu. Prócz ciekawéj obserwacyi medycznéj, jeszcze w 1832. roku w klinice wileńskiéj uczynionéj, nad *przypadkiem wścieklizny bez ukąszenia* (3), podał jeszcze w témże samém piśmie peryodyczném dwie inne rozprawy, które rzeczywiście dowodzą, że umysł tego wzorowego pisarza nigdy niestarzał. Pierwsza z nich, *o wyziewach jadowitych i zarazach* (2), jest nader zajmującym wykładem sposobu, jakim autor podług swego mniemania pojmował zaród i powstanie wszelkich zaraźliwych chorób. Druga, *o irrytacyi* (5), jest napisana w tym celu, ażeby określić stałe znaczenie tego wyrazu, tak często od lekarzy używanego. Jędrzéj Sniadecki odrzucając naukę w téj mierze Browna, a z drugiéj

(1) O gorączce; ob. N. III. Dziennika medycyny, chirurgii i farmacyi r. 1830., str. 335.

(2) Inne artykuły medyczne Jędrzeja Sniadeckiego, które umieścił w tym dzienniku, są: *Postrzeżenia tyczące się sposobu leczenia krupu* (T. I., N. I., str. 1.); *niektóre postrzeżenia tyczące się chorób konwulsyjnych, biorących początek z cierpień kalumny pacierzowéj* (T. I., N. 2., str. 175.); *szczególny przypadek zatrzymania Ischuria zwany* (T. I., N. 2., str. 248.); nakoniec uwagi: *jak niekiedy choroby płuc udają cierpienia szpiku pacierzowego.*

(3) Pamiętnik lekarski warszawski. Tom I., poszyt 4, str. 430.

(4) Pamięt. lekars. warsz. Tom I., poszyt 3., str. 395.

(5) Pamięt. warsz. lekars. Tom II.

strony okazując niedorzeczności systematu Broussego, odwołał się do zasad swoich fizycznych, tak gruntownie w *Teoryi jestestw organicznych* położonych, i na nich oparł swoje mniemanie o irrytacyi. Jestto oryginalna, wybornie pomyślana i dobrze wypracowana rozprawa; jestto jakby ostatnie pożegnanie Nestora medycyny polskiéj na schyłku życia, nauce i uczonym oddane. Jeżeli się zastanowimy, że tak niepospolite myśli mógł jeszcze rzucać na papier w 70. roku życia swego, na pół roku prawie przed zgonem; niezłożymyż z uniesieniem hołdu uwielbienia dla potęgi umysłowéj sędziwego mędrca (6). Wreście, nie do nas należy wchodzić w szczegółowe roztrząsanie wszystkich pism Jędrzeja Sniadeckiego, przedmioty fizyczne, lub medyczne na celu mających; gdzie ten głęboko myślący lekarz filozof, w małéj objętości rzucał nieraz najnowsze oryginalne pomysły i gruntowne rozumowania, w których błyska wszędzie ogień nowych świateł i głębokich myśli, najszczęśliwszym językiem wyrażonych! Bo nigdy niewypada wątpić, że jeśli nie obcy, to krajowi lekarze i fizycy, godnie potrafią ocenić wielkie przymioty, i pośpieszą oddać hołd zasługom, jakie Jędrzéj Sniadecki pod względem medycznym w praktyce i pismach swoich, oraz jako chemik, dla kraju położył (7).

Ostatnim czynem naukowym życia jego, było już w końcu 1837. roku poruczenie zrobienia drugiéj edycyi Teoryi jestestw organicznych. Już przy bardzo osłabioném zdrowiu napisaną została przemowa, która się znajduje na czele pierwszego tomu tego wydania. W niéj zawsze jednostajnie pięknem swojém piórem mógł Sniadecki z pociechą i pewną dumą napisać, że po tylu latach od pierwotnego ogłoszenia tego pamiętnego utworu, nic w nim co do głównych zasad teoryi swojéj do zmiany i poprawy nieznajdywał. Bo też istotnie, wielkie i samorodne myśli, wodległych przerwach czasu się wydają, i ledwo po przejściu wieków ustępują niekiedy nowym pomysłom innych gieniuszów, na odrodzenie i przeistoczenie świata umysłowego zesłanych. Mało więc dodatków porobił Sniadecki w téj nowéj edycyi, nie mogąc już myśleć, z wielką szkodą dla nauk, o dalszym ciągu znamienitego dzieła. Jakoż siły jego fizyczne już w źimie roku 1837—38. znacznie upadać zaczęły; nakoniec w Lutym roku 1838. dotknięty ciężką chorobą, pomimo czułéj troskliwości wielbiącéj go rodziny, pomimo starań wszystkich prawie kolegów swych, już się z niéj niepodniósł. Zgon tego niezapomnianéj sławy i cnót męża, tego wielkiego doradzcy cierpiącéj ludzkości, nastąpił po długiéj chorobie w dniu 11. Maja (29. Kwietnia r. s.) r. 1838., w piątek o kwadransie na drugą po południu (8). Z nim zgasła pochodnia, przyświecająca odrodzonéj na końcu wieku przeszłego cywilizacyi w Litwie, która dobroczynne światło rozlała między teraźniejszém pokoleniem. Z nim ubył jeden z najchlubniejszych zaszczytów Wielkiéj Polski, która była jego ziemią rodzinną. Cnoty domowe i towarzyskie Jędrzeja Sniadeckiego, jego tkliwe przywiązanie do dzieci i wnuków, jego czuła opieka dla swoich kmiotków, słodycz i uprzejmość w towarzystwie, połączone z nadzwyczajnym i wesołym dowcipem, bez ubliżenia powadze lat i rozumu, równie go zalecały, jak cnoty publiczne. Jednakże mało miał tak swobodnego czasu, żeby się mógł oddawać rozrywkom światowym; wszystkie prawie wolne chwile przepędzał zwyczajnie wśród rodzinnéj gromady, otoczony gronem hożéj i wesołéj dziatwy, która go uwielbiała: bo dobroć jego dla niéj była niewyczerpaną, bo znał jéj język, czuł potrzeby, podzielał nawet zabawy i właściwe jéj troski (9).

(Dokończenie nastąpi.)

(6) Piękna rozprawa o irrytacyi, napisana naprzód w Wilnie źimą r. 1837., przypadkiem zarzuconą została między innemi papierami. Autor tak był przejęty swoim pomysłem, że prawie zupełnie takąż samą napisał w lecie tegoż roku, bawiąc u siebie na wśi. Jednakże znalazła się potém i pierwsza. Obie świadczą o rzeźwości potężnie organizowanych władz umysłu jego w sędziwym wieku.

(7) Jednakże dotąd, kiedy to piszę, prócz moich dwukrotnych wspomnień o nim, w wizerunkach wileńskich (z r. 1838. Pocztu nowego T. 1. str. 114.) i w Magazynie powsz. warsz. (r. 1838. N. 27. str. 211.) umieszczonych z niektóremi dodatkami redakcyi; prócz podobnychże wspomnień Tygodnika poznańskiego i petersburskiego, nikt dotąd w Wilnie, ani w Warszawie nie zajął się ocenieniem Sniadeckiego, ani jako medyka, ani jako chemika. Różne gazety rossyjskie chlubnie o nim wspomniały, a ostatecznie *Biblioteka do czytania*, uczone pismo peryodyczne w Petersburgu wychodzące (Październik 1839. r. T. 36. str. 76.) słusznie wielkie mu zasługi w fizyologii przyznaje. Prócz tego, tu i ówdzie głos wdzięcznego ucznia nieraz odezwie się wyrazem wdzięczności dla uwielbianego mistrza. Tak n. p. między innemi, w Dodatku do gubernialnych podolskich wiadomości r. 1838. d. 28. Maja N. 22., nekrolog Jędrzeja Sniadeckiego jest umieszczony.

(8) Zwłoki Jędrzeja Sniadeckiego przeniesione do majątku jego dziedzicznego w powiecie oszmiańskim, leżącego o milę od m. Oszmiany, zowiącego się z litewska Bołtup (to jest Biało-rzeka: Bałtas biały, Upis rzeka), pogrzebione zostały na cmentarzu wśi jego Horodnik (poczytanéj od uczonego badacza Chodakowskiego za starożytny gród słowiański), obok zmarłéj ośmią latami przed nim żony Konstancyi. Wdzięczny i przywiązany syn, pan Józef Sniadecki, uczcił pamięć rodzicielską pięknym marmurowym pomnikiem.

(9) Jędrzéj Sniadecki zostawił syna Józefa i dwie córki, Zofiją Balińską i Ludwikę niezamężną jeszcze.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)